

Andrzej Chojnowski

Warszawa

IPN widziany oczyma Antoniego Dudka*

W czerwcu 2010 r. upłynęło dziesięć lat od chwili utworzenia Instytutu Pamięci Narodowej. Początkowo zapowiadało się, że obchody tej rocznicy zbiegną się w czasie z konfliktem wokół wyboru nowych władz IPN — rządząca koalicja PO–PSL podjęła w poprzednich miesiącach energiczne działania, aby nie dopuścić do reelekcji Janusza Kurtyki, którego kadencja trwać miała do końca grudnia 2010 r. Lotnicza katastrofa 10 kwietnia pod Smoleńskiem zmieniła sytuację. Tragiczna śmierć prezesa Instytutu oznaczała zamknięcie wyrazistej epoki w historii IPN, stając się zachętą do namysłu nad dziejami tej instytucji. Antoni Dudek jako pierwszy pokusił się o taką refleksję. Być może jednak jego książka skłoni niektóre opisywane w niej postacie do przedstawienia własnej wersji wydarzeń.

Jak na razie zaczęły się ukazywać opinie o pracy Dudka. Pochodzą one od osób mocno związanych z Instytutem, które podkreślają jednostronność, a nawet stronniczość tej książki¹.

Antoni Dudek, doskonały znawca najnowszej historii Polski, jest też pełnym temperamentu publicystą i komentatorem spraw rozgrywających się na scenie politycznej. Jego podstawowym miejscem pracy zawodowej pozostaje od lat Uniwersytet Jagielloński, jednak od początku istnienia IPN zaangażował się silnie w sprawy tej instytucji. To zaangażowanie posiadało przy tym wymiar nie tylko formalny, ale i emocjonalny, toteż Instytut stał się dla Dudka, żartobliwie to nazywając, czymś w rodzaju „małej ojczyzny”. W 2005 r. rozważał nawet możliwość ubiegania się o stanowisko prezesa, a obecnie należy do najaktywniejszych członków Rady IPN.

W trakcie minionego dziesięciolecia Antoni Dudek zdobył dużą wiedzę o mechanizmach funkcjonowania IPN, poznał kulisy licznych spraw, wytworzył sobie opinię o wielu pracujących w Instytucie osobach. Autor odtwarza historię Instytutu na podstawie źródeł (głównie prasy), przede wszystkim jednak odwołuje się do własnej pamięci oraz osobistych odczuć. Poglądy Dudka rysują się klarownie, a jego sądy o ludziach są niekiedy bardzo surowe.

Wprawdzie moje kontakty z IPN nie nabrały aż tak intensywnego jak u Antoniego Dudka charakteru, to jednak i mnie wiele połączyło z Instytutem. Byłem jednym z pierwszych historyków uniwersyteckich, którzy prowadzili kwerendę w zbiorach IPN, kibicowałem Instytutowi w okresie prezesury Leona Kieresa, w 2006 r. Janusz Kurtyka zaprosił mnie do współtworzenia jednego z projektów badawczych, od 2007 r. zaś poznawałem problemy IPN z pozycji członka Kolegium. Toteż w moich uwagach o książce Dudka pojawi się bez wątpienia wiele subiektywizmu, także i w doborze omawianych kwestii.

Swą opowieść ułożył Antoni Dudek wedle porządku chronologicznego, stąd rozpoczyna od przypomnienia okoliczności narodzin IPN. Wątek ten nie zajmuje w książce wiele miejsca, jest jednak ważny i interesujący. Obrazuje on bowiem, oczywiście fragmentarycznie, kondycję III Rzeczypospolitej i stan ducha rządzących nią elit. Historia Instytutu nie wy-

* A. Dudek, *Instytut. Osobista historia IPN*, Warszawa 2011, ss. 366.

¹ F. Musiał, *Osobista polemika z „osobistą historią IPN” Antoniego Dudka*, „Arcana”, 2011, nr 101; A. Dudek, *W odpowiedzi Filipowi Musiałowi*, „Arcana”, 2011, nr 102; F. Musiał, *Prof. Dudkowi w odpowiedzi*, „Arcana”, 2012, nr 103–104.

stawia najlepszego świadectwa władzy ustawodawczej. Ustawowe regulacje położenia IPN zmieniały się wielokrotnie, a były przy tym przygotowywane w sposób niechlujny i nonszalancki. Dobitnego przykładu dostarcza ostatnia nowelizacja, przeprowadzona w maju 2011 r. Jej inicjatorzy wprowadzili m.in. zapis przewidujący finansowanie prowadzonych poza Instytutem badań nad najnowszą historią Polski. Nie zadbali jednak przy tym o komplementarne uregulowania w tym zakresie, toteż szybko okazało się, że wypełnianie przez IPN nowej powinności będzie wymagało kolejnych zmian w ustawie. Te i podobne sytuacje, by sięgnąć zwłaszcza do nałożonych na Instytut zadań w zakresie lustracji, uprawomocniają wrażenie, że prawodawca nie w pełni zdawał sobie sprawę z konsekwencji własnych działań.

Instytut od samego początku funkcjonował pod presją „wielkiej polityki”, jeśli to określenie da się w ogóle odnieść do sytuacji w Polsce. Generalnie biorąc, stosunek klasy politycznej do IPN wygląda na zdecydowanie utylitarny. Działacze partyjni czasem podkreślali werbalnie potrzebę „odpolitycznienia” Instytutu, lecz faktycznie traktowali go jako narzędzie we własnych rozgrywkach, odsuwając jednocześnie na plan dalszy załatwienie fundamentalnych niekiedy dla funkcjonowania tej instytucji kwestii. Symbolem tego mogą być losy użytkowanego przez IPN budynku przy ulicy Towarowej w Warszawie.

Uwarunkowania polityczne przesądziły o obsadzie stanowiska prezesa IPN w 2000 i 2005 r. Antoni Dudek przypomina, że przyjęcie zasady wyboru na ten urząd większością kwalifikowaną było efektem bardziej przypadku aniżeli przemyślanej strategii — rozwiązanie to wprowadzono w 1999 r. do ustawy po to, aby zyskać poparcie PSL dla odrzucenia prezydenckiego *veta*. Politycy zdecydowali też o składzie Kolegium pierwszej i drugiej kadencji. Pomysł Andrzeja Paczkowskiego, aby ciała to wybierały korporacje zawodowe prawników i historyków, nie zdobył wówczas uznania autorów ustawy. Kolegium powołane w 1999 r. było politycznie bardziej pluralistyczne aniżeli to wyłonione w roku 2007. W tym ostatnim przypadku nie ulega wątpliwości, że forsując wybór swoich nominatów z pominięciem konkurencji, koalicja PiS, LPR i Samoobrony wykazała zdumiewający brak wyobraźni, który został rychło wykorzystany przez przeciwników IPN. Nowe Kolegium zostało ochrzczone mianem „pisowskiego”, zarzucano mu też nagminnie brak profesjonalizmu. Uwadze głośniciele tych opinii umykał jakoś fakt, że do idealizowanego przez nich Kolegium pierwszej kadencji weszły, z drobnymi wyjątkami, osoby bez istotnych osiągnięć zawodowych.

Ogólne ramy organizacyjne Instytutu zostały określone przez ustawę, jego organizatorzy mieli natomiast wolną rękę w zakresie uregulowań wewnętrznych i doboru pracowników. Swobodę tę dobrze wykorzystał Paweł Machcewicz, który starał się pozyskać dla Biura Edukacji Publicznej osoby kompetentne, a przy tym o zróżnicowanych zapatrywaniach badawczych. Sytuacja w pionie archiwalnym i pionach obsługi ułożyła się o wiele gorzej. Można było się spodziewać, że znajdą tam zatrudnienie przede wszystkim absolwenci szkół administracji publicznej, jak też abiturienti specjalizacji archiwistycznej na studiach historycznych. Tymczasem, wedle Dudka, kadre Instytutu zasilili licznie pracownicy więziennictwa, handlu, służby zdrowia itp. Trudno przesądzić, w jakim stopniu był to rezultat przypadku, bezradności czy kumoterstwa — Autor nie próbuje zresztą określić skali tego zjawiska. Nawet jeśli obraz przedstawiony w książce został nieco przejawskawiony, to problem rzeczywiście istniał, dając o sobie znać także i po objęciu funkcji prezesa przez Janusza Kurtykę. To wszystko może być również częstkową ilustracją sposobu funkcjonowania biurokracji państwowej w III Rzeczypospolitej.

Chociaż po 1989 r. w Polsce nie brakowało i nie brakuje zwolenników spalania lub przynajmniej „zabetonowania” na dłużej akt komunistycznej policji politycznej, to jednak poważną część tej spuścizny po PRL udało się ocalić. Antoni Dudek sugeruje, że wpłynęło na to

stanowisko służb specjalnych III Rzeczypospolitej, które nie chciały pozbyć się bogatej bazy danych, użytecznej dla nich aż po dzień dzisiejszy.

Ze swej strony mocniej uwypukliłbym inną okoliczność, o której pisał przed laty Aleksander Hall. Byli opozycjoniści nie zorientowali się w porę, że materiały MSW zachowały się w dużo większym stopniu, niż można było sądzić na początku 1990 r., kiedy dowiedziano się o niszczeniu przez resort własnych archiwaliów. Równolegle „wielu ludzi dawnej opozycji nie doceniało faktu, że przez kilkadziesiąt lat swego istnienia system komunistyczny przy pomocy bezpieki zламаł lub nadłamał morale wielu z tych, którzy w hierarchiach opozycji zajmowali ważne miejsca”².

Dlatego też powstanie IPN wzburzyło te kręgi społeczeństwa, które pielegnowały „wizję budowania przyszłości Polski opartą na nierozdrapywaniu ran z przeszłości i wybaczeniu przewin bez konieczności okazania skruchy”. W wypadku wpływowego środowiska „Gazety Wyborczej” otwieranie archiwów utrudniało realizację koncepcji „pogodzenia spadkobierców dwóch tradycji: niepodległościowo–demokratycznej i komunistyczno–peerelowskiej oraz budowania nowego kanonu historii Polski niejako wynegocjowanego między przedstawicielami obu obozów”³.

Diagnoza Aleksandra Halla wymaga jednak poszerzenia. Należy bowiem dodać, że historycy przedstawiają obecnie dzieje środowisk, które są nadal aktywne na publicznej scenie. W Polsce jest to sytuacja właściwie bezprecedensowa. W czasach II Rzeczypospolitej praktycznie nie prowadzono badań nad historią najnowszą, nieliczni zaś „ryzykanci” (Adam Próchnik, Władysław Pobóg–Malinowski) narażali się na kłopoty. Po 1945 r. zaczęto pisać o okresie międzywojennym, ale nie brano pod uwagę racji bohaterów tamtej epoki — bohaterowie ci nie żyli, znajdowali się na emigracji, a jeśli mieszkali w kraju, to zostali całkowicie zmarginalizowani, pozbawieni możliwości zabierania głosu. Gdy zaś chodzi o dzieje ruchu komunistycznego, to zastrzeżono je do kompetencji wąskiego grona zaufanych historyków partyjnych. Wraz z upadkiem systemu owe okoliczności przestały istnieć, a jednocześnie poszerzał się systematycznie zakres dostępności do materiałów źródłowych. A w materiałach tych znajdują się przecież świadectwa zarówno odwagi i wielkości, jak i całkiem odmiennych postaw.

Konflikt między historykami a niektórymi czytelnikami ich prac był więc właściwie nieunikniony. Wpisywał się on przy tym w przemiany współczesnej historiografii, która w większym niż kiedyś stopniu pochyła się nad odczuciami jednostki, jak też stara się przedstawić wydarzenia widziane oczyma nie tylko wielkich postaci, ale i „zwykłych zjadaczy chleba”.

Kiedy więc zaczęły się ukazywać pierwsze prace sygnowane przez Instytut, dość szybko spotkały się one z głosami niezadowolenia. Wyraziciele tych krytycznych opinii posługiwali się przy tym całym asortymentem określeń, które już same w sobie miały zdezwauować „historyków z IPN”. Zarzucano im najczęściej, że zostali „ukąszeni” jadem ubeckich papierów, które są przecież wyłącznie zbieraniną bezwartościowych i niewiarygodnych „świstków” (inaczej „kserówek”). Płynąć miał z tego wniosek, że jedynie bohaterowie wydarzeń są w stanie odtworzyć skomplikowany bieg minionych dziejów. Z poglądem takim polemizował Paweł Machcewicz, zauważając przytomnie, że przy tego rodzaju podejściu wystarczyłoby publikować wspomnienia kombatantów, a historyków odesłać po prostu do lamusa⁴. Być może jednak głosicielom tych opinii o to właśnie chodziło...

² A. Hall, *Historia dla dorosłych*, „Rzeczpospolita”, 5 I 2005, nr 3.

³ *Ibidem*.

⁴ P. Machcewicz, *Historycy w zmowie z SB?*, „Rzeczpospolita”, 4 III 2005, nr 53.

Najważniejszą płaszczyzną sporów wokół IPN stała się kwestia dostępu do zgromadzonych w Instytucie archiwaliów. Antoni Dudek przedstawia obszernie różne aspekty tego problemu — historię i okoliczności przejmowania akt, dalekosiężne konsekwencje popełnionych przy tej okazji błędów, sposób funkcjonowania Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów i in. Autor sugeruje, że owo udostępnianie znajdowało się od początku pod dyskrejonanym nadzorem służb specjalnych. Po powstaniu IPN wśród zatrudnionych w pionie archiwalnym pojawili się bowiem dawni pracownicy MSW i Urzędu Ochrony Państwa. Jednocześnie zaś prezes Leon Kieres wykazywał uległość wobec wniosków UOP/ABW o skierowanie części materiałów do tzw. zbioru zastrzeżonego — władze IPN czyniły to przeważnie bez dokładnego zapoznawania się z ich treścią.

Kwestia funkcjonowania archiwum nabrała nowych rumieńców z chwilą gdy IPN zaczęli odwiedzać czytelnicy spoza Instytutu. Historyków, początkowo zresztą dość nielicznych, zdumiewały rozmiary opieszałości, jako że czas oczekiwania na realizację zamówienia dochodził do wielu miesięcy. Z kolei osoby szukające informacji na swój temat nie mogły zrozumieć, dlaczego w udostępnianych im materiałach zamazywano wszystkie pojawiające się tam nazwiska, z wyjątkiem nazwiska „pokrzywdzonego”.

Takie sytuacje da się oczywiście tłumaczyć czy to względami formalnymi — anonimizacja wynikała przecież z postanowień ustawy, czy też grzechem młodości dopiero co powstałego Instytutu: na samym początku jego pracownicy dopiero uczyli się topografii przejętych po komunistycznym MSW zbiorów.

Zgodnie z ustawą o IPN udostępnianie materiałów archiwalnych odbywa się w drodze decyzji administracyjnej. Przepis ten obowiązuje po dzień dzisiejszy i oznacza, że każdy wniosek o uzyskanie prawa wglądu do tych materiałów odbywa długą drogę między pokojami i biurkami całego łańcucha instytutowych urzędników. Od objęcia prezesury przez Janusza Kurtykę władze Instytutu starały się przyspieszyć tempo tej wędrówki, nie mogły jednak zmienić ustawowej zasady. W praktyce więc wszystko zależało od sprawności i dobrej woli pracowników BUiAD, a pod tym względem sytuacja była oczywiście zróżnicowana.

Czytelnicy z zewnątrz nie mieli, rzecz jasna, obowiązku wnikania w te kwestie, toteż IPN dość szybko doczekał się reputacji placówki patologicznie zbiurokratyzowanej i mało życzliwej dla „interesantów”.

O tym, kto ma prawo wstępu do instytutowych czytelni, decydowała ustawa, zresztą w tym punkcie zmieniana. Wobec braku precyzji ustawodawcy, istniejące regulacje można było jednak interpretować w sposób zawężający lub rozszerzający, w Instytucie zaś dawał o sobie znać brak zgodności poglądów w tej materii. Różnice stanowisk dzieliły zarówno kierownictwo IPN, jak i członków Kolegium, spośród których na przykład Andrzej Friszke opowiadał się „za reglamentacją dostępu dla dziennikarzy”⁵. Odnoszę wrażenie, że Antoni Dudek wygładza owe spory, przedostające się zresztą na łamy prasy, pomija też niektóre dość istotne aspekty tego zagadnienia.

Skutkująca powstaniem IPN możliwość wglądu w akta wytworzone przez aparat bezpieczeństwa spowodowała wzrost zainteresowania działalnością adeptów Clio — Daniel Passent, czołowa postać dziennikarskiej elity z czasów komunistycznych, nazywał to złośliwie „dorwaniem się historyków do żłobu”. W rzeczywistości większość środowisk akademickich nie wykazywała najmniejszej ochoty, aby skorzystać z powstałej szansy sięgnięcia po nowe źródła. Inaczej natomiast pracownicy Instytutu — ci włożyli wiele energii w pozna-

⁵ *Jawność musi boleć: debata o IPN* (Paweł Machcewicz, Antoni Dudek, Andrzej Friszke; rozm. zeprz. Adam Leszczyński, Milada Jędrsyk), „Gazeta Wyborcza”, 4 II 2005, nr 30.

nie specyfiki archiwaliów komunistycznych służb specjalnych i stali się niewątpliwie ekspertami w tym zakresie. Dlatego dość szybko opinia publiczna zaczęła uznawać za naturalne, że materiałami w IPN zajmują się „historycy z IPN”. Inna to już sprawa, że wiele osób widziało w takim stanie rzeczy gwarancję, iż upowszechnianie informacji o zawartości „teczek” będzie odbywało się pod czujną kontrolą władz tej scentralizowanej instytucji.

Publiczna dyskusja o zasadach dostępu do archiwów zgromadzonych w IPN nasiliła się w latach 2005–2006. Optujący wówczas za radykalnym otwarciem zbiorów Jan Rokita wyraził w jednym z wywiadów zaskakującą na pozór opinię, że przeciwnikami jawności — „kapłanami akt ubeckich”, jak ich nazywał — okazują się nie tylko dawni funkcjonariusze UB/SB i niektórzy z tzw. pokrzywdzonych, ale także i „historycy z IPN”. Ci ostatni są może dość sympatyczni, ale jednocześnie niezdolni w swoim zadufaniu i uzurpacji prawa do wydawania wyroków w kategoriach: „winny, niewinny”⁶.

Sformułowanie „kapłani” nie zostało tu użyte przypadkowo. W tle dyskusji o stopniu otwartości archiwów przewijało się jeszcze ogólniejsze pytanie: w jakiej mierze sam Instytut okaże się instytucją „otwartą”? Powstał on w wyraźnej formule personalnej. Paweł Machcewicz, założycielski dyrektor BEP, stawiał raczej na młodych, czasem początkujących badaczy, którzy nie zostali nadmiernie skażeni nawykami z czasów PRL. Za takim wyborem kryły się też względy pragmatyczne. Trudno było przecież przypuszczać, że historycy uniwersyteccy masowo zamienią swobodne życie nauczyciela akademickiego na posadę urzędnika państwowego, zobowiązanego podpisywać co dzień rano listę obecności. W ten sposób IPN rodził się jako wspólnota *de facto* pokoleniowa.

Więzi pokoleniowe odgrywają wielką rolę w dziejach, czasem niedocenianą przez historyków. Sama zaś pokoleniowa rotacja to proces naturalny, toteż mądra władza wie od czasów Machiavellego, że powinna na równi inspirować, jak i kontrolować tego rodzaju przemiany. Czasami wszakże owo samoistne zjawisko bywa namaszczone w kategoriach ideologicznych. Tak się dzieje we współczesnej kulturze masowej, która uczyniła jednym ze swoich filarów kult młodzieńczości. Wedle rozpowszechnionego dzisiaj przekonania młodość jest wartością samą w sobie i stanowi gwarancję kompetencji. Sądząc z wielu publicznych wypowiedzi, pogląd ten odpowiada Antoniemu Dudkowi. Widać to także w książce o IPN, zarówno wtedy, gdy Autor chwali dynamizm młodych pracowników Instytutu (nie to, co niemrawa profesura!), jak i gdy dość oryginalnie komplementuje wiceprezes Marię Dmochowską, tę „zaskakująco energiczną starszą panią” (s. 86 i 258).

Trudno ukryć, że jestem stroną w tej sprawie, toteż może nie powinienem się o niej rozpisywać. Tak się jednak zdarzyło, że akurat w momencie ukazania się książki Dudka dziennikarze „Newsweeka” opublikowali materiał, w którym przedstawiali działania grona polityków z różnych ugrupowań zmierzające do utworzenia „partii młodych”, jako jedynej siły zdolnej do przebudowy Polski. Okazuje się, że na przywódcę tego ruchu typowano — w tym miejscu proszę zachować powagę! — „Kazika Marcinkiewicza”⁷. No cóż, już stary Marks zauważył, że od dramatu do farsy wiedzie droga krótka...

Pokoleniowy charakter społeczności IPN nabrał nowej mocy po objęciu prezesury przez Janusza Kurtykę. Ten, wedle Antoniego Dudka, „dowódca oddziału walczącego na froncie świadomości historycznej” (s. 247) traktował historię jako narzędzie kształtowania postaw

⁶ J. Lichočka, Rokita: *Uczciwi ludzie nie boją się teczek*, „Dziennik Polska–Europa–Świat”, 2006, nr 115.

⁷ A. Stankiewicz (współpraca A. Panuszko, T. Wojciechowski), *Cenzor dla Ziobry*, „Newsweek”, 17 VII 2011, nr 28.

obywatelskich w wolnej Polsce i miał mało zrozumienia dla postaw „przystosowawczych”, powszechnych w czasach PRL. Protesty przeciw lustracji utwierdziły Kurtykę w przekonaniu o marności środowisk naukowych, sam bowiem widział w lustracji nie tylko sposób poznania przeszłości, ale i metodę moralnego oczyszczenia społeczeństwa. Stąd już było mu blisko do uznania, że to właśnie grono młodych badaczy z Instytutu odegra rolę załączka nowej historiografii. Dlatego też m.in. bardzo chętnie obdarzał niektórych z nich mianem historyków „wybitnych”.

Jestem pewnie dość staroświecki w przekonaniu, że na takie zaszczytne określenie zasłużyło w całych dziejach naszej historiografii niewielkie grono osób. Nie chodzi jednak o to, by klócić się o sens tego pojęcia, które na pewno uległo w dzisiejszych czasach dewaluacji. Trzeba natomiast pamiętać, że zarówno zgrzytliwa krytyka, jak i zagłaskiwanie pochwałami to jednakowo niefortunne posunięcia pedagogiczne. Ten, kto dowiaduje się nieustannie o swej „wybitności”, musi mieć mocną głowę, żeby nie ulec zaccadzeniu oparami pochwał...

Janusz Kurtyka wyraźnie zdynamizował aktywność swojej „młodzieżowej dywizji”, szczególnie w sferze wydawniczej. Antoni Dudek sporo pisze o tym zjawisku, zwracając uwagę, że kryły się za nim zarówno powiększające się możliwości finansowe Instytutu, jak i pasja samego prezesa, który znany był ze swego zamiłowania do książek. Tych ostatnich przybywało pewnie i dlatego, że po kilku latach pracy niektórzy „bepowcy” byli już w stanie zaprezentować obszerniejsze wyniki swych badań.

Wedle Dudka IPN wydał w latach 2006–2010 ponad 100 „niezwykle ważnych monografii i tomów źródeł, które pozostaną na trwale obecne w dorobku polskiej historiografii”. Utonęły one jednak „w masie kilkuset publikacji, których wartość naukowa (nawet w wymiarze wyłącznie regionalnym) jest po prostu mniej niż skromna” (s. 279). Jak wytłumaczyć tę sytuację? Dudek zwraca uwagę na nadmierny pośpiech narzucany autorom, obniżenie wymagań edytorskich w stosunku do okresu kierowania BEP przez Pawła Machcewicza, a wreszcie niesumienność recenzentów albo lekceważenie ich opinii (s. 279). Malkontent może jednak postawić pytanie, czy w IPN nie znaleźli się po prostu ludzie mało kompetentni?

Taka teza nie została chyba wypowiedziana wprost w publicznych dyskusjach, ale jest ona bez wątpienia obecna w towarzyskich rozmowach na temat Instytutu. Odpowiada ona wykreowanemu przez propagandowe media obrazowi sytuacji, zgodnie z którym doszło do podziału na historyków „prawdziwych” (uniwersytety oraz placówki PAN) oraz „pseudo-historyków” z IPN. Rzecz w tym, że w Biurze Edukacji Publicznej zatrudnienie znaleźli przecież absolwenci czolowych uczelni w kraju. Jeśli więc rzeczywistość nie posiadałaby oni kwalifikacji, to, jak zauważył Sławomir M. Nowinowski, *nota bene* krytyk „ery Kurtyki”, „odpowiedzialność za to ponoszą przede wszystkim ich akademicy mistrzowie”⁸.

Prawdą jest natomiast, że po przyjściu do BEP niektórzy jego pracownicy zdobywali następnie stopnie naukowe, ale było to jednak odstępstwem od reguły. Generalnie bowiem w Instytucie nie udało się wytworzyć mechanizmów, które by zmuszały zatrudnione w nim osoby do doskonalenia swego warsztatu wedle zasad, jakie obowiązują w systemie akademickim. „Bepowcy” bez wątpienia nabierali coraz większej biegłości w zakresie poznawania specyfiki materiałów wytworzonych przez aparat bezpieczeństwa. Aliści „nakazowo-rozdzielczy” tryb pracy, w jakim funkcjonowali, utrudniał im prowadzenie szerszych kwerend archiwalnych, jak i nie sprzyjał poszerzaniu ogólnej wiedzy.

⁸ S. M. Nowinowski, *Dziesięć lat IPN. Historycy czy architekci politycznej wyobraźni?*, „Gazeta Wyborcza”, 19–20 III 2011, nr 65.

Dialogowi z nauką uniwersytecką służyć miały organizowane przez IPN liczne konferencje z udziałem historyków z zewnątrz, natomiast roboczy kontakt obu światów w ramach spotkań typu seminaryjnego był o wiele rzadszy. Raczej obserwowaly się one, aniżeli dążyły do nawiązania bliższej współpracy. Nie znaczy to wcale, że ewentualne współdziałanie mogło być lekarstwem na wszystkie problemy. Największą słabością dyskusji o IPN jest bowiem formułowanie sądów w oderwaniu od generalnej sytuacji polskiej historiografii dziejów najnowszych.

Najpełniejszą chyba listę krytycznych ocen zestawil Rafał Stobiecki w trakcie konferencji zorganizowanej w grudniu 2010 r. przez łódzki Oddział IPN wspólnie z Uniwersytetem Łódzkim. Zarzucił on „historykom z IPN” m.in. bezkrytyczny stosunek do źródeł; „bezgraniczną afirmację dokumentu historycznego jako źródła wiedzy — część badaczy wydaje się podzielać anachroniczny pogląd, że w źródle tkwi prawda, którą historyk wydobywa na powierzchnię”; a wreszcie uprawianie „historiografii wydarzeniowej rodem z II poł. XIX w., która chronologicznie porządkuje fakty za pomocą najbardziej elementarnej analizy źródeł”. Z kolei Mariusz Mazur mówił o „kronikarskich zapisach, które mają głównie znaczenie dla miłośników historii regionalnej”⁹, przywołując jako przykład książkę o życiu politycznym w Krośnie¹⁰. Nie analizując zasadności tych uwag, trudno nie zauważyć, że można je odnieść do sporej części prac „pisanych na stopień” w placówkach uniwersyteckich oraz w szkołach prywatnych. Taki stan rzeczy jest zamazywany przez okoliczność, że przy prezentacji dokonania historiografii bierze się głównie pod uwagę osiągnięcia Instytutu Studiów Politycznych PAN i pojedynczych badaczy z przodujących w rankingach wyższych uczelni. Owe grono tworzy jednak elitarną jednostkę, która wybiegła daleko przed resztą historycznego wojska. Czy profesor Mazur zadał sobie trud sprawdzenia, jaka jest tematyka i zakres pola widzenia wielu książek powstających na uniwersytetach, nazwijmy je: „prowincjonalnych”? Obawiam się, że nie do końca.

Larum podniesione wokół IPN było jednak korzystne dla środowisk akademickich, albowiem pozwalało odwrócić uwagę od ich opieszałości. Tak naprawdę grono osób, które mają poważne osiągnięcia w badaniach okresu PRL, zmieściłoby się w jednej, niezbyt dużej sali. Niewielu historyków sięgnęło też po przechowywane w Instytucie źródła. Można zrozumieć ich opory wobec tzw. pisarstwa lustracyjnego. Gorzej natomiast, że zlekceważono przydatność materiałów policyjnych dla biografistyki i badań z zakresu historii społecznej. Nieliczne wypowiedzi, które zwracały uwagę na te możliwości, zostały praktycznie zignorowane¹¹. Do tego wszystkiego dochodzi wreszcie uwład krytyki historycznej. Wystarczy przypomnieć, że nawet książka Sławomira Cenciekiewicza i Piotra Gontarczyka doczekała się zaledwie jednej naukowej recenzji¹², publikacja zaś o Jedwabnem niewiele więcej¹³. Zapewne więc głosy niektórych uczestników łódzkiej konferencji nabrałyby większej wiarygodności, gdyby wcześniej dawali oni wyraz swym wątpliwościom wobec publikacji IPN na łamach fachowych periodyków.

⁹ Cyt. za: A. Leszczyński, *Czy IPN może być zbawiony?*, „Gazeta Wyborcza”, 10 I 2011, nr 6.

¹⁰ *Krosno i powiat krosnieński w latach 1944–1956*, pod red. K. Kaczmarzkiego, M. Krzysztofińskiego i C. Nowaka, Rzeszów 2009.

¹¹ Kwestii tych dotyczył m.in. artykuł B. Brzostka i M. Zaremby *Polska 1956–1976: w poszukiwaniu paradygmatu*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, 2006, nr 2 (10).

¹² W. Suleja, *Czasami warto pomyśleć...*, „Dzieje Najnowsze”, 2008, R. XL, nr 3. Dla porządku trzeba też odnotować recenzję P. Warota, w „Echach Przyszłości”, 2008, t. IX.

¹³ F. Tych, *Na marginesie ogłoszenia przez IPN książki „Wokół Jedwabnego”*, „Kwartalnik Historii Żydów”, 2003, R. III, nr 1; B. Musiał, *Wokół Jedwabnego*, „Dzieje Najnowsze”, 2003, nr 3.

Mimo wszystko, Instytut Pamięci Narodowej traktowano jednak czasami jako instytucję pożyteczną, można bowiem było cedować nań tzw. kwestie drażliwe. Dobrym przykładem jest sytuacja wywołana pojawieniem się pracy Anetty Rybickiej¹⁴. Wywołała ona w Krakowie wielkie wzburzenie, a ówczesny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Franciszek Ziejka, zwrócił się do IPN o orzeczenie, czy naukowcy UJ „kolaborowali z Niemcami”¹⁵. Ciekawe, że Jego Magnificencja nie skorzystał z możliwości ufundowania stypendium dla historyka, który by zmierzył się ponownie z tematyką podjętą przez warszawską badaczkę... Po dzień dzisiejszy kwestia Instytutu Niemieckiej Pracy Wschodniej bywa wprawdzie podnoszona w niektórych publikacjach (m.in. Andrzeja Chwalby), to jednak w Krakowie nie powstała konkurencyjna w stosunku do książki Rybickiej monografia¹⁶. Dla porządku należy dodać, że zapowiadane przez prezesa Leona Kieresa „śledztwo” miało charakter wyraźnie pozorowany. Nie udało mi się w każdym razie odnaleźć w dokumentacji IPN potwierdzenia, że rzeczywiście zostało podjęte.

Wedle wspomnianego już Sławomira M. Nowinowskiego, dystansowanie się od IPN nastąpiło zaraz po jego powstaniu. „W kręgach akademickich zaczął dominować pogląd, że przyzwoity człowiek nie powinien mieć z tą instytucją nic wspólnego”¹⁷. Nie trzeba być wnikliwym freudystą, aby wskazać podłoże takich nastrojów. Nie chodziło tu, wbrew pozorom, o kwestie czysto „lustracyjne”, lecz o posiadającą szerszy wymiar niechęć środowisk naukowych do analizy własnych postaw zajmowanych w czasach PRL.

Na pewno jednak nastroje wrogości wobec IPN spotęgowane zostały radykalnym poszerzeniem zasięgu lustracji w 2007 r. wraz z nałożeniem przez ustawodawcę na Instytut zadań w tym zakresie. W odczuciu wielu osób IPN wszedł ochoczo w rolę bezlitosnego sądu historycznego, ferującego jednoznaczne wyroki.

Upublicznianie danych tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa ściągało na IPN gromy już w czasach prezesury Leona Kieresa. Janusz Kurtyka nie miał na swoim koncie tak spektakularnych wystąpień w tej kwestii, jakie były udziałem jego poprzednika (choćby przy okazji sprawy o Konrada Hejmo), ale to on stał się dla opinii publicznej ucieleśnieniem super-lustratora. Kryło się za tym wiele przyczyn, wśród których eksponowaną pozycję zajęło wydanie przez IPN książki Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka o Lechu Wałęsie. Antoni Dudek poświęca tej sprawie sporo miejsca. Przyznaje, że lektura zrobiła na nim wrażenie „z uwagi na olbrzymią liczbę informacji na temat TW «Bolka», jakie autorzy zgromadzili”. Jeszcze większe wrażenie zrobiła na Dudku część odsłaniająca „bulwersujący obraz «prywatyzacji» tajnych akt bezpieki przez urzędującego prezydenta Lecha Wałęsę w 1993 r.” (s. 324, 325). Antoni Dudek pisze też o nadzwyczajnym trybie edytowania pracy, która była pilotowana przez samego Kurtykę i jego Sekretariat, z pominięciem Biura Edukacji Publicznej, ponadto, jak ocenia, żaden z oficjalnych recenzentów „nie miał w swoim dorobku publikacji naukowych dotyczących epoki późnego PRL”. Zarazem dodaje, że większość uwag do tekstu, jakie sam przekazał przed drukiem książki Januszowi Kurtyce, „nie została uwzględniona” (s. 326).

¹⁴ A. Rybicka, *Instytut Niemieckiej Pracy Wschodniej: Kraków 1940–1945*, Warszawa 2002.

¹⁵ „Gazeta Wyborcza”, 4 IV 2003, nr 80; także: M. Olszewski, *Zakazana kolaboracja*, „Gazeta Wyborcza” (Kraków), 8 XI 2004, nr 262.

¹⁶ Za taką nie można uznać książki Teresy Bałuk–Ulewiczowej pt. *Wyzwolić się z błędnego koła. Institut für Deutsche Ostarbeit w świetle dokumentów Armii Krajowej i materiałów zachowanych w Polsce* (Kraków 2004), która miała głównie na celu obronę dobrego imienia prof. Tadeusza Ulewicza.

¹⁷ S. M. Nowinowski, op. cit.

Być może oficjalni recenzenci (byłem jednym z nich) mogli wykazać większy krytycyzm. Rzecz jednak nie w tym, że książka posiadała jakieś istotne mankamenty warsztatowe. Odwrotnie, wymowa zgromadzonego w pracy materiału była bardzo silna i nawet najbardziej agresywnym krytykom nie udało się podważyć jej tez. Trudno też sobie wyobrazić poważnego historyka, który mógłby dziś zlekceważyć ustalenia autorów. W ich świetle współpraca Lecha Wałęsy z SB w początku lat 70. nie ulega wątpliwości. Jeśli nie była ona aż tak znacząca, jak suponują przeciwnicy lidera „Solidarności”, to nie można jej też traktować jako epizodu bez większego znaczenia. Miała ona znaczenie przede wszystkim dla samego zainteresowanego, pamięć o niej położyła się bowiem mocnym cieniem na jego osobowości i działaniach na scenie publicznej w kolejnych dekadach.

Wprawdzie książka Cenckiewicz i Gontarczyka obroniła się jako ministudium, lecz z bogatego życiorysu Lecha Wałęsy autorzy wybrali jeden wątek, a tło opisywanych spraw przedstawiali dość lakonicznie. Można więc było się obawiać, że tak pomyślana publikacja wywołała silny głos sprzeciwu. Dlaczego więc Janusz Kurtyka zaangażował się aż tak zdecydowanie w kreowanie tej pracy?

Wedle Antoniego Dudka wiązać to można z „osobistą fascynacją” Janusza Kurtyki postacią Jarosława Kaczyńskiego (s. 304). Zgodnie z tą interpretacją, zresztą rozpowszechnioną, prezes IPN wprowadził Instytut w orbitę polityki Prawa i Sprawiedliwości.

Niewiele wiem o kontaktach Janusza Kurtyki z działaczami PiS, na pewno jednak w latach 2006–2007 dochodziło do sytuacji dających argumenty tym wszystkim, którzy zarzucali Instytutowi odgrywanie roli „tuby” partii Jarosława Kaczyńskiego. Wszelako w 2008 r., kiedy ukazała się książka o Lechu Wałęsie, ugrupowanie to było już po przegranych wyborach, toteż wiązanie się z nim nie dawało takich korzyści, na jakie można było liczyć w czasach rządów koalicji PiS, LPR i Samoobrony. Janusz Kurtyka nie mógł też nie zdawać sobie sprawy z tego, że stosunek Prawa i Sprawiedliwości do lustracji skażony jest typowym dla świata polityki pragmatyzmem. Pokazała to chociażby sprawa Zyty Gilowskiej, kiedy to prezydent Lech Kaczyński i premier Jarosław Kaczyński nie pokazali się jako obrońcy zasad, natomiast wypowiadali mało fortunne uwagi pod adresem sędzi Małgorzaty Mojkowskiej.

Teza Antoniego Dudka o „fascynacji” prezesa IPN wydaje mi się więc wątpliwa, uważam bowiem, że stanowisko Janusza Kurtyki było w pełni samodzielne i jeśli ktoś od kogoś mógłby się uczyć pryncypialności, to politycy PiS od niego, a nie odwrotnie. Sam Autor pisze zresztą obszernie o poglądach Kurtyki na polskie dzieje, o absolutyzowaniu przezeń znaczenia postaw niepodległościowych, o kulcie „żołnierzy wyklętych” itp. W przekonaniu prezesa IPN jego obowiązkiem było bardziej oddanie sprawiedliwości ofiarom komunizmu aniżeli roztkliwianie się nad rozterkami tych, którzy weszli w symbiozę z tym systemem. Przy tym Kurtyka do szeregu tych ofiar bezsprzecznie nie zaliczał współpracowników aparatu bezpieczeństwa PRL.

Wypowiedź Janusza Kurtyki o Jarosławie Kaczyńskim zaczerpnął Antoni Dudek z filmu o wizycie przyszłego prezesa IPN w Stanach Zjednoczonych w 1999 r. Ale w tym samym materiale — co już Autor pomija — usłyszeć też można Kurtykę zastanawiającego się nad sensem „aktywności publicznej człowieka, który ceni sobie honor i który naruszenie tego honoru stara się nie puszczać płazem, człowieka, który zdaje sobie sprawę z tego, że czasami za honor, za ocalenie honoru, czy za pomszczenie krzywdy trzeba płacić i gotów jest to zrobić”. Może więc tutaj leży klucz do motywów działań szefa IPN?

Przy tzw. sprawie Lecha Wałęsy nie należy bowiem lekceważyć jej wymiaru psychologicznego. Zachowanie się przywódcy „Solidarności”, przechwalającego się, jak to sam „obalił komunę”, i przedstawiającego swój życiorys w konwencji barona Münchhausena,

niewątpliwie prowokowało i prowokuje aktywność sceptyków, zachęcając ich do zadawania niewygodnych mu pytań.

Dochodzi do tego jeszcze ważniejszy aspekt. W okresie „Solidarności”, stanu wojennego oraz początków III Rzeczypospolitej Lech Wałęsa udowodnił swoje doskonale wyczucie nastrojów społecznych oraz ogromną zręczność w działaniu. Okazał się zarówno skutecznym przywódcą, jak i zręcznym graczem politycznym. Opinia politycznego zwycięzcy jednak przestała mu wystarczać, szczególnie od objęcia prezydentury, kiedy dotychczasowe umiejętności go opuściły. W publicznych wypowiedziach zaczął pretendować do roli moralnego i intelektualnego autorytetu, przypisując sobie monopol na mądrość i zasługi dla sprawy. Można by to uznać za banalną ludzką słabość, gdyby nie towarzyszyło temu demonstrowanie pogardy, a niekiedy wręcz upokarzanie tych, z którymi Wałęsie było już nie pod drodze. Solidarnościowy lider nie potrafił dzielić się sławą, nie wystarczały mu jego własne osiągnięcia, chciał się dodatkowo wywyższyć metodą poniżania dawnych współpracowników.

W świetle powyższego intencją Janusza Kurtyki nie musiało być wcale uderzenie w legendę „Okrągłego Stołu”, co skwapliwie przyjmowali za pewnik wrogowie prezesa IPN. Chodziło bardziej o „odbrazowanie” Lecha Wałęsy, sprowadzenie jego postaci do rzeczywistego formatu, a tym samym zadośćuczynienie tym wszystkim, których zadufany elektryk z Gdańska zapragnął wyrzucić na śmietnik historii. Wałęsa pozostaje co prawda symbolem walczącej o wolność „Solidarności”, ale przecież dla zmarginalizowanej w III Rzeczypospolitej części dawnej opozycji stał się on symbolem zakłamania i moralnej bezdusznosci nowych czasów.

Publikacja pracy Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka okazała się wszakże porażką IPN. Mniej ważna była przy tym reakcja bohatera książki, który jest strukturalnie niezdolny do krytycznej refleksji nad sobą, ani też postawa podobnych mu „grzeszników”, którzy, jak ocenia Dudek, „z ulgą schowali się za liderem «Solidarności»” (s. 335).

Jeśli jednak uwierzyć socjologom, to widać z ich badań, że „„prywatyzacja» tajnych akt bezpieczeństwa” przez Pałac Prezydencki nie wywołała szoku opinii publicznej, wpisywała się bowiem w przyzwalające przekonanie, że elity polityczne są bezkarne w swym zawłaszczaniu państwa. Z kolei wytykanie przywódcy „Solidarności” błędów przeszłości zostało odebrane jako przejaw małostkowości wobec zasłużonego w sumie bohatera. Co najistotniejsze, zarówno autorzy książki, jak i Janusz Kurtyka rozmijali się w swych surowych ocenach z panującymi nastrojami. Nie dostrzegali, że tzw. statystyczny Polak odnosi się do Lecha Wałęsy z większą wyrozumiałością. Poza wszystkim bowiem, postawę Wałęsy można uznać za uosobienie polskiego charakteru w jego plebejskiej wersji, gdzie pewność siebie łatwo przekształca się w bufonadę, obrona własnych racji w arogancję i zacietrzewienie, gdzie zaradność sąsiaduje ze spryciarstwem, realizm z konformizmem i dwulicowością, gdzie brak argumentów zastępuje się krzykiem i obelgami, emocjonalny infantylizm zaś i zakompleksienie odreagowuje się metodą dziecięcych przechwałek.

Antoni Dudek sugeruje, że przed publikacją książki o Lechu Wałęsie szef IPN prowadził „poufne rozmowy z niektórymi politykami PO” (s. 323). Jak już wspomniałem, problem relacji Janusza Kurtyki z dwoma największymi partiami na scenie polskiej budził wiele emocji i spekulacji. Rzadko kiedy padało jednak pytanie o efektywność tych kontaktów. Prezes Instytutu nie należał przecież do osób łatwo zaprzyjaźniających się, miał bardzo wyraziste poglądy, a swoje obowiązki traktował w kategoriach misji. W większym stopniu głosił własne przesłanie, aniżeli wsłuchiwał się w głos innych, starając się bardziej apelować do rozumu rozmówcy, aniżeli wczuwać się w jego emocje. Czy potrafił więc odczytać „stan duszy” polityków, z którymi miał do czynienia, czy trafnie odgadywał ich rzeczywiste intencje, czy miał

rozeznanie w zamiarach tzw. decydentów? Czy, przykładowo, powołując w 2008 r. nowego wiceprezesa, Franciszka Gryciuka, rzeczywiście wierzył, że związany z najbardziej koniunkturalną partią w Polsce nominat poprawi stosunki IPN z rządzącą koalicją? Pytania takie, które można by mnożyć, stanowiąc będą pewnie wdzięczny przedmiot dociekań przyszłego biografu Janusza Kurtyki, a odpowiedź na nie wzbogaci obraz jego osobowości.

Antoni Dudek zauważa, że Janusz Kurtyka nie tłumił odmiennych poglądów, lecz „po prostu je ignorował” (s. 281). Można do tego dodać, że opinie krytyczne przyjmował ze spokojem, bo był pewny swych racji, rad zaś słuchał uważnie, ale ich nie szukał. Ów zespół zachowań, charakterystyczny dla silnych osobowości, widać było klarownie w jego stosunkach z Kolegium IPN. Przychodził on na posiedzenia starannie przygotowany, rzeczowo i kompetentnie wyjaśniał wszystkie problemy, ale decyzje miał podjęte już wcześniej. Nie unikał jednak dyskusji i zdarzało się, że uwzględniał jej wyniki w swych działaniach. Takich sytuacji nie było jednak wiele, nie tylko za sprawą prezesa.

Wedle Dudka, Janusz Kurtyka „znakomicie się czuł przez okrągły rok, w którym Kolegium w ogóle nie istniało” (od września 2006 do września 2007 r.), następnie zaś „nie musiał się nim przejmować, bowiem jego skład został zdominowany przez osoby podzielające w większości przypadków jego punkt widzenia” (s. 261). Nieco poszerzając tę konstatację, chcę dodać, że wbrew obiegowym wyobrażeniom członkowie Kolegium znacznie różnili się w swoich poglądach na wiele spraw. W odniesieniu natomiast do kwestii wewnątrzinstytucyjnych zwyciężyła wyraźna opcja. Jedynie zdecydowana mniejszość stanęła na stanowisku, że popierając prezesa, można jednocześnie formułować pod jego adresem uwagi krytyczne. Pozostali natomiast uznawali, że owo poparcie powinno być właściwie bezwarunkowe. Obok innych powodów, na tę postawę ogromny wpływ miały nasilające się od 2008 r. ataki na Instytut, które sprzyjały tworzeniu się atmosfery „obleżonego miasta”. Skutków tej atmosfery doświadczyła nawet tak życzliwa Januszowi Kurtyce osoba, jak Sławomir Radoń. Kiedy w grudniu 2008 r. Radoń zgłosił szereg zastrzeżeń co do funkcjonowania Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów, spotkał się z pełnym dezaprobaty milczeniem większości koleżeństwa, co potem wspominał z goryczą. Przyjętą przez Kolegium taktykę uważam za bardzo istotny błąd, jak też za swoją osobistą porażkę.

Przed ukazaniem się książki Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka Janusz Kurtyka nie okazywał zdenerwowania, a zagadnięty wiosną 2008 r. o ewentualne ryzyko zapytał mnie z nutą pobłażania, czy rzeczywiście wierzę, że Platforma Obywatelska pójdzie na wojnę w obronie Wałęsy. A jednak Platforma na tę wojnę poszła! Antoni Dudek opisuje dość obszernie przebieg związanych z tym wydarzeń. Przedstawia zwłaszcza falę ataków na Instytut i samego Kurtykę, nasiloną po publikacji pracy Pawła Zyzaka, z którą IPN nie miał, jak wiadomo, nic wspólnego. Cała ta kampania, w połączeniu z innymi posunięciami, takimi jak redukcja budżetu i rozpoczęcie prac nad nowelizacją ustawy, osłabiły aktywność Instytutu i energię jej prezesa.

Co byliby dalej? Jakie ślady pozostawiły w psychice Janusza Kurtyki długie miesiące wysłuchiwanie pretensji, wśród których obok rzeczowych argumentów nie brakowało też obelg, pomówień i gwałtu na prywatności? Czy znalazłby na nowo siły, aby ubiegać się o reelekcję? Nie miał w tej mierze dobrego wyboru. Rezygnacja mogłaby być odczytana jako potwierdzenie słuszności stawianych mu zarzutów. Gdyby natomiast stanął w szranki, naraziłoby go to ponownie na trudne przeżycia. Los okrutnie rozstrzygnął te dylematy, ale — być może — oszczędził mu dalszych upokorzeń. Odszedł wprawdzie pokiereszowany walką, lecz nadal niepokonany.

„Kręcimy ten film dla potomności” — te wypowiedziane na nowojorskiej ulicy słowa Janusza Kurtyki brzmią dzisiaj profetycznie. IPN „w postaci nadanej mu przez Kurtykę przestał istnieć i już nie powróci” — pisze Dudek w zakończeniu książki. Ale zadania, dla których wypełnienia Instytut został powołany do życia, nie zniknęły, pozostał również aktualny problem historycznej i moralnej odpowiedzialności za zło komunizmu. Czy Antoni Dudek będzie miał sposobność opisanego kolejnego dziesięciolecia dziejów IPN? Ja w każdym razie tego mu życzę.

* * *